



BEATA CHOMĄTOWSKA

PAŁAC

BIOGRAFIA INTYMNA

znak

BEATA CHOMĄTOWSKA

PAŁAC

BIOGRAFIA INTYMNA

Wydawnictwo Znak
Kraków 2015

Spis treści

1. Łącznik	9
2. Bohater drugiego planu	51
3. Przed	83
4. Goście	131
5. Kronikarka	171
6. Środek świata	219
7. Republika samotników	261
8. Muzeum	277
9. Kolekcjoner	299
Przypisy	307
Podziękowania	319
Kalendarium	321
Spis i źródła ilustracji zamieszczonych w książce	333



1. Łącznik

Braci było czterech, jak w baśniach z morałem.

Dwaj starsi – zdolni. Trzeci – zwyczajny, może dlatego że średni. Najmłodszy dopiero się zapowiadał.

Po starszych ślad zagał. O środkowym zapomniano. Ostatni umiał się znaleźć.

Jeden myślał, że wybuduje w stalinowskiej Moskwie największy pałac na świecie. Rosjanie wyróżnili projekt, ale gdy przyjechał pracować na rzecz ich ojczyzny, uznali, że szpieg, i wsadzili do tury. Potem rozstrzelali. Drugi za mundur polskiego oficera dostał od nich kulę w potylicę. Wrzucono go razem z innymi do jamy w charkowskim lesie.

Najmłodszy we wrześniu trzydziestego dziewiątego pognął do punktu po broń. „Żydaków nie potrzebujemy”, prychnął do niego umundurowany patriota z komisji mobilizacyjnej. Gdyby się uparł, pewnie dostałby karabin. Bratu przecież dali. Ale on miał swój honor. Kilka lat wcześniej, gdy na politechnice koledzy z mieczykami w klapach marynarek usiłowali go zagnać do tylnej części sali, wywrzeszczał im na całe gardło: „Czuję się Polakiem! Ubliza mi, że nie mogę usiąść, gdzie chcę!”.

Tym razem tylko obrócił się na pięcie.

Imiona jak z dobrej mieszczańskiej rodziny: Roman, Grzegorz, Aleksander i najmłodszy Józef, nazywany Kociem. Chłopaki wyrosły dorodne i krzepkie na kefirach wyrabianych przez babkę, która – jak głosiła rodzinna legenda – przywiozła do Warszawy z rodzinnego Putigorska recepturę i specjalne grzybki do fermentacji. Interes rozrósł się błyskawicznie – od kiosku w Ogrodzie Saskim, przez Pierwszy Specjalny Zakład Kefirowy Klauddii Sigaliny przy Królewskiej 31, wabiący klientów gipsowym modelem gór Kaukazu na wystawie, po pijalnię na Marszałkowskiej, róg Wilczej, i drugi zakład, przy Żelaznej, gdzie dla odmiany sprzedawano różne rodzaje mleka i śmietany.

Rodzina porządna, mieszkająca w eleganckiej części Śródmieścia, jak wiele podobnych – inteligentnych, zeświecczonych,. Tylko młodzi

Sigalinowie mogliby podśpiewywać w trakcie wspólnych zabaw, gdy nikt nie słyszał:

„Koci, koci łapci, pojedziem do babci,
Tylko ani słówka, bo babcia Żydówka”.

Lecznicy kefir stał się słynny, kupowano go na potęgę w Warszawie, Łodzi, Otwocku, a nawet za granicą. Klaudia Sigalina miała dryg do reklamy. Jeszcze nim jej wyrób trafił na rynek, stworzyła wokół niego legendę. Plotkowano, że właścicielka zakładu wykradła kefirowe grzybki kaukaskiej szamance, więc towar pierwsza klasa, z gwarancją autentyczności.. By wzmocnić argumentację, babka Sigalina wydawała broszury, w których medyczne autorytety zachwalały zdrowotne właściwości firmowanych przez nią produktów. Rozważnie lokowała zyski – wiedziała, że nic nie zapewnia takiej stopy zwrotu jak odpowiednia edukacja kolejnych pokoleń. Syn Michał został dentystą, a choć praktyka w zawodzie interesowała go mniej niż kierowanie rodzinną firmą (już przy pierwszym pacjencie pojął, że jest zbyt wrażliwy, by uczestniczyć w tych mękach), wzorem matki nie żałował środków, by wykształcić własną szóstkę. Dwóch najstarszych zostało architektami, najmłodszy wybrał prawo, ale nie spodobało mu się tam i też postanowił zostać architektem. Były jeszcze dwie córki, Anna i Eugenia. Pierwsza z nich zniknęła rodzinie z oczu na zawsze gdzieś na trasie Umschlagplatz – Treblinka, którą jechała z matką. Eugenii udało się wylosować życie. Wyszła z getta i pod przybranym nazwiskiem ukrywała się na Saskiej Kępie. No i średni, absolwent wydziału chemii, ale ten, choć też przeżył, od początku niewiele znaczy w tej opowieści.

W baśniach z braćmi w roli głównej zwykle bywa tak, że los najhojniej obdarowuje nie tych starszych, zapobiegliwych i dobrze się zapowiadających, ci starsi bowiem, zapobiegliwi i dobrze się zapowiadający giną gdzieś po drodze, a los najhojniej obdarowuje najmłodszego. Choćby z początku nic na to nie wskazywało.

Wspólnicy

Roman i Grzegorz, urodzeni w odstępnie roku, od dziecka trzymają się razem. Uchodzą za pracusiów – już na studiach próbowali zarabiać, przy mierzali się do konkursów. Roman wiąże się zawodowo z nieco starszym



Przedsiębiorczość Klaudii Sigaliny w połączeniu z drygiem do reklamy szybko przyniosła owoce: kefirowe przedsięwzięcie rozrastało się, powstawały kolejne punkty sprzedaży. Warszawiacy stoją w ogonku do firmowego kiosku w Alejach Ujazdowskich, by nabyć słynne mleczne produkty marki Sigalin.

od siebie Jerzym Gelbardem, malarzem i architektem, także pochodzącym ze spolonizowanej żydowskiej rodziny z tradycjami. Gelbard wrócił do Warszawy po pobycie w Paryżu wyczulony na nowe tendencje w branży. Zakładają razem biuro projektowe. Jako pracownik dołącza Grzegorz. Na rajzbretach spółki Gelbard-Sigalin królują z początku gmachy użyteczności publicznej. Sypią się za nie nagrody, lecz trójka autorów dostrzega rosnącą koniunkturę na luksusowe budownictwo dla prywatnych inwestorów i celuje w ten segment, licząc, że okaże się pewniejszym źródłem zysków.

Ich specjalnością, opartą na paryskich doświadczeniach Gelbarda, stają się charakterystyczne trójboczne wykusze od frontu, często biegnące przez całą wysokość elewacji. Bogatym zleceniodawcom rozwiązanie od razu przypada do gustu, bo zwiększa przestrzeń przeznaczoną na wynajem i pozwala dodatkowo doświetlić mieszkania – rzecz nie bez znaczenia w zwartej śródmiejskiej zabudowie. Z początkiem lat trzydziestych intratne zlecenia dla spółki Gelbard-Sigalin (choć właściwiej byłoby mówić: Gelbard-Sigalinowie) sypią się już jak z rękawa. Ten, kto dysponuje odpowiednimi środkami, a chce udowodnić, że jest modny, zgłasza się do ich biura na Hożej 29. Ukoronowaniem kariery jest zlecenie na opracowanie wnętrza luksusowego lokalu rozrywkowego Adria, otwartego uroczystie 7 lutego 1931 roku. Sigalinowie brylują w towarzystwie, wśród ludzi biznesu i artystów. Warszawiacy pokazują ich sobie, gdy w towarzystwie Gelbarda i jego żony, ekscentrycznej Belli Hertz, krążą po mieście nowiutką tatrą – z premiery na raut, z przyjęcia na wystawę.

Z dwóch Sigalinów więcej splendorów spada na Romana, jako wspólnika Gelbarda, choć to Grzegorz jest uznawany za najzdolniejszego w rodzinie. Pora się przekonać, ile jest wart bez brata. Najlepiej za granicą. Ogłoszono właśnie konkurs na projekt Pałacu Rad – to doskonała okazja.

Wyzwanie

Pałac Grzegorza nie przypomina typowego pałacu. Na jednym ze szkiców, w podłużnym przekroju, wygląda raczej jak katowicki Spodek albo któraś z nieistniejących jeszcze wówczas konstrukcji inżyniera

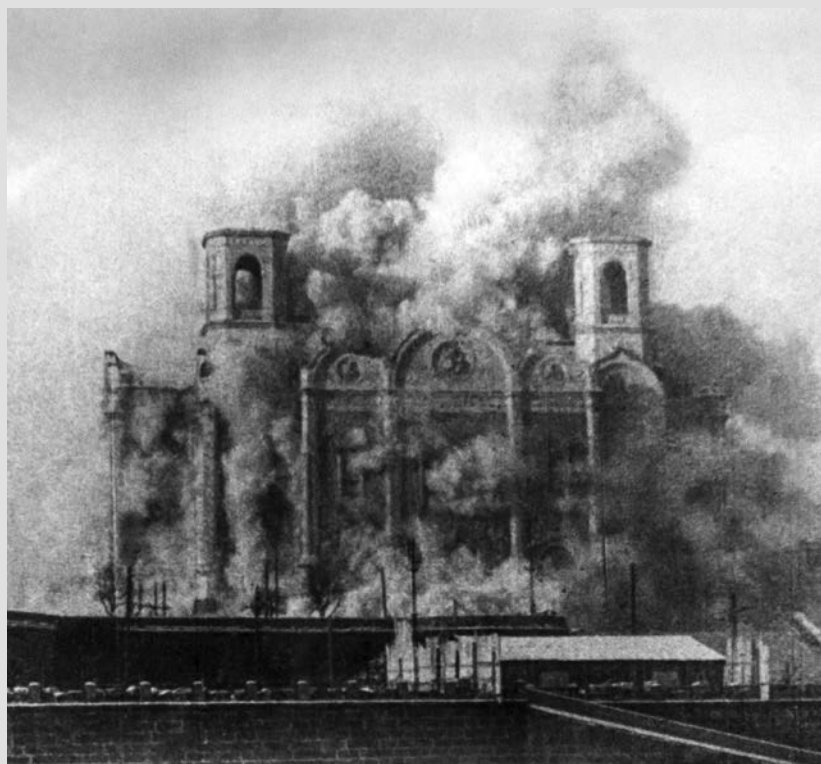
Davida Geigera, posiadacza patentu pozwalającego wznosić podwieszane kopuły o dużych rozpiętościach. Także makietą zaskakuje: odwrócony eliptyczny stożek gra tu pierwszoplanową rolę, ale towarzyszy mu kilka innych budynków, w tym jeden wieżowiec oraz podłużny obiekt kojarzący się z wielopiętrowym garażem. Tylko patrzeć, jak cała grupa wzbija się w powietrze, orbitując wokół Ziemi, niczym planity z utopijnych pomysłów Kazimierza Malewicza.

Kosmiczna propozycja musiała się spodobać, skoro Rada Budowy Pałacu Rad oceniająca projekty gmachu, nadesłane na rozpisany w 1931 roku powtórny konkurs (pierwszego nie rozstrzygnięto), zakwalifikowała ją do ścisłego finału, a następnie zakupiła. W końcu Majakowski, poeta podziwiany przez Stalina, kilka lat wcześniej pisał: „wśród niebieskich sfer wiemy już że nie ma boga i wiara nic nie znaczy, każdy proletariusz powinien iść do planetarium”¹.

Ogłaszając konkurs na projekt Pałacu Rad, organizatorzy określili go nudnym mianem „centrum administracyjno-kongresowego przy Komitecie Centralnym Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich”. To, że chodzi o budynek zgoła innego kalibru, było jasne już w grudniu 1922 roku, gdy podczas Zjazdu Rad ZSRR zasłużony działacz bolszewicki Siergiej Kirow porwał zgromadzonych postulatem wzniesienia reprezentacyjnej budowli, która przyćmi rezydencje burżujów i arystokracji i pomieści delegatów wszystkich republik rozrastającego się państwa.

„Pałac Rad nawet zewnętrznie nie powinien mieć nic wspólnego z fasadami parlamentów odchodzącego świata. Powinien być zemstą władzy pogardzanych, zacofanych niegdyś robotników i chłopów nad burżuazyjnym Zachodem, budowlą, której nasi wrogowie nie mogliby sobie wyobrazić nawet we śnie. Ten gmach powinien stać się widowym znakiem przyszłej potęgi, triumfu komunizmu nie tylko u nas, ale i na Zachodzie. Pałac Rad trzeba zbudować po to, żeby właśnie tam wcielić w skład Związku Sowieckiego ostatnią republikę!”², mówił w uniesieniu, a towarzysze nagrodzili go oklaskami.

Decyzja, gdzie zbudować Pałac, zapada bez sporów. Wszyscy są zgodni, że symbolicznie najlepiej nadaje się przylegający do Kremla plac Czeretopole z gigantyczną świątynią – cerkwią Chrystusa Zbawiciela, którą kazał wznieść car Aleksander I jako wotum dziękczynne za uratowanie



Radzieccy przywódcy partii podczas narady 2 czerwca 1931 zdecydowali, że cerkiew Chrystusa Zbawiciela musi ustąpić miejsca Pałacowi Rad. Dwa miesiące później, 18 sierpnia, zaczęto ją burzyć.

kraju przed Napoleonem. Teraz, zgodnie z wolą Stalina, duchowe centrum carskiej Rosji, określane z przekąsem jako „wielki samowar”, musi ustąpić miejsca Pałacowi Rad, ośrodkowi państwa proletariuszy. Cerkiew, dekorowana przez najzdolniejszych artystów, była budowana przez czterdzieści cztery lata. W powietrze natomiast wyleciała w ciągu kilkunastu sekund, choć nie poddała się bez walki – dopiero drugi wybuch rozwalił jej grube mury огоłocone wcześniej z wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Wywózka cegieł potrwa blisko rok.

Władze radzieckiej Rosji robią, co mogą, by wieść o konkursie rozniosła się po świecie i spotkała z należytych oddźwiękiem. Grzegorz Sigalin, architekt popularny w Warszawie, lecz zupełnie nieznany w świecie, musiał wiedzieć, na co się porywa. W rywalizacji o Pałac konkurentami będą już nie koledzy z prestiżowego Wydziału Architektury warszawskiej Politechniki, lecz międzynarodowa czołówka twórców. Żadnemu z nich nie przeszkadza, że w ten sposób mogą się przyczynić do światowego triumfu komunizmu. Grzegorz też specjalnie się tym nie zamartwia. W dwudziestym roku, gdy miał osiemnaście lat, chciał bić bolszewika i razem z bratem na ochotnika wstąpił do batalionu obrony przeciwlotniczej. Batalion czekał na bolszewików na Polu Mokotowskim, lecz ci nie dotarli do Warszawy. Jako dorośli, podobnie jak wielu zafascynowanych modernizmem architektów z kręgu stołecznej awangardy, sympatyzuje z lewicą.

Trojka

Nie porywa się jednak na Pałac sam. Autorów projektu jest trzech: wystąpili pod godłem Trojka i flagą francuską.

Ten drugi to bliski kolega Henryk Blum, na gruncie warszawskim konkurent po fachu, do spółki z Lucjanem Korngoldem projektujący luksusowe kamienice dla zamożnych inwestorów. Dla takiego wyzwania jednak warto połączyć siły, nie oglądając się na interesy na rynku krajowym.

Trzeci, Bertold Lubetkin, odgrywa w całym przedsięwzięciu rolę lidera. Zanim zaczął wznosić gmachy dla ludzi, zastąpił jako projektant budowli dla zwierząt – dzięki protekcji sir Juliana Huxleya, brata pisarza Aldousa, powierzono mu zaprojektowanie domku dla goryli

w londyńskim zoo. Konstrukcję wzniesiono na planie koła – Lubetkin, mimo zapatrzenia w proste linie forsowane przez niedoścignętego Le Corbusiera, uwielbia okrągłe kształty. Pochodził ze Wschodu, lecz szykował się do kariery na Zachodzie. Choć dopiero co przekroczył trzydziestkę, miał już swoje biuro architektoniczne w Londynie i mógł poszczycić się praktyką u samego Auguste’a Perreta oraz znajomością z Wilhelmem Worringерem, wpływowym historykiem sztuki, uchodzącym za głównego mentora Corbu. Najprawdopodobniej to właśnie któryś z tych patronów zachęcił młodego autora, by wziął udział w moskiewskich zmaganiach – nawet jeśli nie wygra, będzie mógł się sprawdzić, rywalizując z uznanymi architektami.

Urodzony w Tyflisie (dziś Tbilisi) w zasymilowanej zamożnej żydowskiej rodzinie Lubetkin łatwo znajduje wspólny język ze swoim rówieśnikiem Grzegorzem Jakubem Aaronem Sigalinem, potomkiem Klaudii, przedsiębiorczej kobiety z Kaukazu. Znają się z czasów studiów: pielgrzymujący po europejskich uczelniach i pracowniach Bertold spędził dwa lata na Politechnice Warszawskiej. Poza tym też czuje się komunistą. Gorąco wierzy, że projektowany budynek powinien być narzędziem naprawy społecznej, środkiem do stworzenia państwa, w którym – jak mawia Bill Haywood, doradca bolszewików – „nic nie jest za dobre dla zwykłych ludzi”³.

Wśród gwiazd

Zagraniczni autorzy zgłaszają dwadzieścia cztery projekty Pałacu na sto sześćdziesiąt nadesłanych. Stalin może być zadowolony – udziałem w konkursie nie pogardziły takie tuzy, jak Walter Gropius, Auguste Perret, Erich Mendelsohn i Hans Poelzig.

Le Corbusier jest tak pewien, że wygra, iż prezentując swój pomysł, daje prawdziwy show: dwójka jego współpracowników w tanecznych płasach unosi prześcieradło nad stołem z makietą, on zaś, miłośnik muzyki, przygrywa im na kontrabasie. Corbu, choć w komunizm nie uwierzył, też przechodził fazę fascynacji Związkiem Radzieckim i jego stolicą, o której pisał jako „fabryce planów, Ziemi Obiecanej techników”⁴. Jest jedynym zachodnim architektem modernistą, którego radzieccy towarzysze

zaprosili do Moskwy, by nadzorował tam budowę gmachu Centrosójuzu swego autorstwa; co więcej, postanowili zasięgnąć opinii Mistrza na temat całkowitej przebudowy miasta. Dziennik „Prawda” anonsujący przyjazd Corbusiera na czołowiec pierwszej strony („przybył do nas najzdolniejszy przedstawiciel zaawansowanej myśli architektonicznej Europy”), tłumy pragnące dostać się na wykład – wszystko to mile łechta próżność Szwajcara, który dopiero co musiał przełknąć gorzką pigułkę: jury konkursu na projekt pałacu Ligi Narodów w Genewie odrzuciło jego propozycję na rzecz bardziej zachowawczego rozwiązania. „Moje prace pokonały blokadę. Jestem sławny, jestem popularny!”⁵, zapisuje z triumfem w dzienniku. Ściska dłonie oficjelowi, brata się z miejscowymi architektami, zwiedza Moskwę i jej najbliższą okolicę, oczywiście w asyście gospodarzy.

Muzyczno-teatralny spektakl odbija się szerokim echem. Podczas pierwszego etapu konkursu nie udaje się wyłonić zwycięzcy, ale życzliwi donoszą Corbu, że jego projekt wywarł na wszystkich ogromne wrażenie. Gigantyczna skala, odpowiadająca ambicjom sowieckiego imperium, dla której osiągnięcia architekt nie zawahałby się wyburzyć jeszcze połowy dzielnicy: główne audytorium dla piętnastu tysięcy osób, małe dla sześciu i pół tysiąca, zewnętrzna platforma dla pięćdziesięciu tysięcy. Akustyka dopracowana do perfekcji. Dwa najważniejsze obiekty, oglądane w pomniejszeniu na makiecie, przywodzą na myśl rozplątane instrumenty smyczkowe: platformę opasano parabolicznym łukiem służącym za rampę dla pieszych, wychodzące zaś z niej pręty, jak struny, podtrzymują dach. Żadnych klatek schodowych! Autor przyjmuje wieści o zachwytach jako coś najzupełniej oczywistego i już widzi się w drugim etapie – jeśli nie w roli zwycięzcy, to przynajmniej wśród finalistów.

Gdy 28 grudnia 1932 roku ogłaszają wyniki, musi być przekonany, że się pomylił, zwłaszcza że decyzja brzmi podobnie jak ta podjęta w konkursie na pałac Ligi Narodów. Jury, któremu formalnie przewodniczy zasłużony bolszewik polskiego pochodzenia Gleb Krzyżanowski, choć i tak wszyscy wiedzą, że najważniejszym członkiem tego gremium jest „dyktator Stalin”, jak nazywa go tygodnik „Time”, nie wybrało jednej, najlepszej propozycji, zamiast tego wskazując trzy projekty, które wzbudziły największe uznanie: Borysa Michajłowicza Jofana, Iwana Żółtowskiego oraz Hectora Hamiltona, dwudziestoosmioletniego



Le Corbusier z modelem Pałacu Rad wedle projektu swojego autorstwa. Jest pewien, że Rosjanie ogłoszą go zwycięzcą konkursu. Nie dopuszcza do siebie myśli, że jury mogłoby zadecydować inaczej.

brytyjskiego architekta z New Jersey, zaskoczonego werdyktem nie mniej od Corbu. Wszystkie projekty tradycyjne w wyrazie, klasycyzujące, jak za złotych lat dawnej carskiej Rosji. Ciąg dalszy jest łatwy do przewidzenia – albo trzecia runda, albo państwowa interwencja, kompromis ze wskazaniem na szkic, który budzi najmniej kontrowersji. Czyli wygrywają przeciętni, zupełnie jak w Genewie.

Le Corbusier obraża się na Moskwę. Ale ona już go nie potrzebuje. Łazar Kaganowicz, prawa ręka Stalina i pierwszy sekretarz partii w mieście, odpowiedzialny za najważniejsze inwestycje budowlane, burknie, że siedziba Centrosojuzu wygląda jak „tłusta maciora na malutkich nóżkach”⁶. Za pośrednictwem tej samej gazety, która kilka lat wcześniej na czołówce ogłaszała o przybyciu do radzieckiej stolicy papieża modernizmu, towarzysze dają mu nadto wyraźnie do zrozumienia, co sądzą o awangardowych pomysłach: „Corbusieryzm – to wytworzony jakością materiału estetyzm szczytów burżuazji, uczuciowo wchłaniającej tylko jedno: rozkoszowanie się chwilą. To znowu forma geometryczna. Sejf dla hyperwyrafinowanych osobników, odgradzonych od świata szklami automobilowymi »zjadaczy przestrzeni« – dom feudałów współczesnych. To punkt kulminacyjny ogłoszenia, zrzeczenie się historii, podporządkowanie się materiałowi, kult materiału – fetyszizm. Z tego stanowiska jeden krok tylko do psychologicznego stanu troglodyty”⁷.

Z tej perspektywy wyróżnienie dla projektu Grzegorza Sigalina i jego dwóch współpracowników, inspirowanych tym samym sposobem myślenia, zakrawa na pomyłkę lub złośliwy żart.

Pomnik

Niełatwo spełnić życzenia komisji konkursowej, która oczekuje, że Pałac będzie się odznaczał monumentalnością i „odzwierciedlał ducha czasów, stając się zarazem architektonicznym symbolem miasta”⁸. W miarę precyzyjnie określono tylko wymagania dające się ująć w liczbach: przestrzeń pozwalająca na zgromadzenie dwudziestu pięciu tysięcy osób, tak by umożliwić im jednocześnie swobodne przemieszczanie się, dwa wielkie audytoria, cztery dodatkowe hale konferencyjne, zaplecze dla administracji. Reszta pozostaje niewiadomą – jury musi dostosować się

do preferencji Stalina, którego zamysły trudno przeniknąć. Na wszelki wypadek sprawozdanie z konkursu krytykuje „naiwny symbolizm”, czyli budynki w kształcie globusów, pięcioramiennych gwiazd, sierpów i młotów czy piramid, ale również utylitarne projekty w duchu modernizmu, bo „Pałac Sowietów nie jest maszyną¹⁰”. Po raz pierwszy w odniesieniu do tych ostatnich pada określenie: „wrogie”, a wśród mętnych dalszych rozważań wybija się jeden konkret: przyszły gmach powinien być utrzymany w nowym stylu proletariackim. Jak miałby wyglądać ów styl, nie wyjawiono, ograniczając się do ogólników w rodzaju: „w architekturze ZSRR najwybitniejszą rolę powinien grać sam człowiek”, „dzieła sztuki klasycznej powinny zespolić się z gmachem, jak jego części organiczne”, „rozwiązanie architektoniczne takiego gmachu, jak Pałac Sowietów, powinno być orientowane nie tylko na dziś lub jutro, lecz i na przyszłość¹¹”. Pełniące funkcję tuby władz „Izwestia” podpowiadają, by czerpać inspirację z wzorów greckich i rzymskich. Zapowiedź nowego nurtu nazwanego socrealizmem. Gdy zacznie obowiązywać jako doktryna, Le Corbusier i jego naśladowcy nie będą już mieli czego szukać w Związku Radzieckim.

Latem 1932 roku Stalin przegląda projekty konkursowe i wydaje ostateczny werdykt. Pałac zaprojektuje Borys Jofan. „Ten ciemnooki, czarnowłosy, żonaty, lecz bezdzietny mężczyzna jest jednym z najbardziej hołubionych architektów nowego radzieckiego państwa”, donosi tygodnik „Time”, informując dalej, że Jofan mieszka w nowoczesnym czteropokojowym apartamencie w centrum miasta i płaci zań „tylko 60 rubli miesięcznie¹²”. Fachu uczył się w Rzymie, gdzie pod jego okiem rozplanowano żydowski cmentarz na przedmieściach – na planie koła, otoczony kolumnadami, a więc nawiązujący do klasyki.

Pierwszy szkic Pałacu autorstwa Jofana przedstawia kompleks budynków. Uwagę zwraca wśród nich spodek podobny do jakiejś roboczej wersji projektu Trojki, lecz centralne miejsce zajmuje wieża o trzech tarasach w podium, wyżej prosta jak rakieta kosmiczna. Na samym szczycie zdobi ją figura „wyzwolonego proletariusza”. Jedna z rąk owego przedstawiciela ludu, uchwyconego w pozie znanej z rzymskich posągów, wyprostowana, sięga w dal, druga dzierży coś, co wygląda jak wiązka płomieni (trudno pozbyć się skojarzeń z proletariuszem w roli latarni morskiej). Zgodnie z sugestią Rady Budowy, zwycięska propozycja miała zyskać

na wartości, jeśli w jej docelowym kształcie wykorzysta się „najlepsze części projektów innych architektów”¹³, którzy również mogą się włączyć w dalszy proces twórczy. Chętny do współpracy okazuje się akademik Władimir Szczuko, który do spółki z Władimirem Gelfreichem przerabia pomysł Jofana. Na uszczegółowionej wersji projektu wieża zbliżyła się ku spodkowi, przeobrażonemu teraz w coś przypominającego tort, i zwężyła się ku górze na kształt teleskopu, a proletariusz zgubił gdzieś swój olimpijski lub może rewolucyjny ogień. W trzecim podejściu wieża jest niższa i składa się wyłącznie z tarasów, a w najniższym umieszczono monumentalne wejście z ujętą na planie łuku kolumnadą. Proletariusz (nadal pozbawiony gadżetów) skromnie przysiadł na czubku.

Po dokładnym przestudiowaniu wszystkich wersji Stalin bierze kartkę papieru i kreśli instrukcje. Wieża musi być odsunięta od pozostałych budynków i przypominać kolumnę. Ma dorównać wysokością wieży Eiffla, a jeszcze lepiej, gdyby ją przewyższyła. Na szczycie powinny się znaleźć lekko podświetlone sierp i młot, a gdzieś pomiędzy albo przed nimi – pomniki Lenina, Marksa i Engelsa.

„Pałac Sowietów jest pomnikiem Lenina. Nie ma więc co się bać wysokości. Dajmy się jej porwać!”¹⁴, zachęca Przywódca Narodu podczas jednego z wystąpień.

Autorzy czują się ośmieleni i Pałac zaczyna rosnąć jak na drożdżach. Początkowo miał dwieście sześćdziesiąt metrów, teraz dobija do czterystu sześćdziesięciu. W ostatecznej wersji, zaprezentowanej światu w marcu 1934 roku, całość wygląda już jak parodia Empire State Building z figurą King Konga na szczycie – widok podobny do tego, który od niedawna budzi grozę na ekranach kin. Sam Lenin mierzy osiemdziesiąt metrów, niemal o połowę przewyższając Statuę Wolności.

„Pałac Rad, zwieńczony statua Iljicza, niezmiennie będzie stać na brzegu rzeki Moskwy. Ludzie będą się rodzić – pokolenie za pokoleniem, żyć szczęśliwym życiem, starzeć się pomału, lecz znany im z lubianych książek lat dzieciennych Pałac Rad będzie wciąż stać – taki sam, jakim go ujrzymy w najbliższych latach. Stulecia nie pozostawiają na nim swoich śladów, zbudujmy go tak, by – nie starzejąc się – stał wiecznie. To przecież pomnik Lenina!”¹⁵, pisze Nikołaj Atarow w książce poświęconej Pałacowi.

Emil Wierzbicki w „Architekturze i Budownictwie”, piśmie relacjonującym na bieżąco poszczególne etapy konkursu na Pałac, zauważa: „W tej formie nie jest on »Pałacem Sowietów«, uwieńczonym posągami symbolicznego proletariusza, ale – pomnikiem Lenina, pomnikiem, w którego wnętrzu mieści się »Pałac Sowietów«”. I dalej, na podstawie informacji przekazanych przez organizatorów: „Wnętrza gmachu otrzymają dekoracje o niebywałym przepychu. Wszystkie najpiękniejsze odmiany kamieni Uralu, Kaukazu, Syberii, Altaju i Pamiru będą wyzyskane dla pokrycia ścian i pilastrów kolumn. Wielkie powierzchnie zajmą freski. (...) Nie jest jeszcze zdecydowane, z jakiego materiału stanie posąg Lenina. Największe bodaj szanse ma projekt pokrycia jego powierzchni srebrzystą, polerowaną blachą z chromowej stali. Byłaby to zapewne pierwsza próba użycia tego par excellence modernistycznego materiału, zamiast odwiecznego brązu”¹⁶.

Zachodni moderniści, uczestnicy kongresów nowoczesnej architektury, obserwują tę metamorfozę z bezpiecznej odległości. Irytacja, którą wywołał wynik konkursu, miesza się teraz z grozą i rozbawieniem. Jeszcze chyba nie w pełni czują, co się święci. W pierwszym odruchu, rozżaleni tym, że znów, jak w Genewie, wygrały zachowawcze projekty, Le Corbusier i krytyk architektury Sigfried Giedion ślą Stalinowi telegram, złożony z samych dużych liter, oznajmiając, że ich CIRPAC (Comité international pour la résolution des problèmes de l'architecture contemporaine) „też gustuje w klasyce, dlatego piszemy do Was w taki sposób”¹⁷. Odpowiedzi brak, lecz największy przegrany, Le Corbusier, jeszcze długo nie daje za wygraną. „Decyzja jest obrazą ducha Rewolucji i planu pięcioletniego!”, wyrwie mu się. W złości przypomina sobie drewnianą architekturę moskiewskich przedmieść i zapisuje w dzienniku, że sowieckie społeczeństwo, wychowane w takiej tradycji, nie było zdolne ani odpowiednio przygotowane do właściwego odbioru awangardowych dzieł. Jednym słowem, nie są go warci. „Beznadziejnie przeciętni, wsteczni i dekadencyjni”.

W kolejnym liście Giedion, tym razem do spółki z inną gwiazdą moderny, wpływowym holenderskim urbanistą Cornelisem van Eesterenem, prezentują przywódcy Sowietów wymowny fotomontaż. Przedstawia on berlińską fabrykę w stylu art déco z roku 1929 i klasycyzujący kościół z hasłem „modern”, przed którym doklejono słowo „pseudo”, oraz



Prezydent Warszawy Stefan Starzyński objaśnia współpracownikom i członkom polskiego rządu plany rozbudowy stolicy. Trzymany przezeń wskaźnik dotyka budynku do złudzenia przypominającego Pałac Kultury i Nauki, o którego istnieniu nikomu z obecnych nawet się nie śni. Obiekt ze zdjęcia to Wieża Niepodległości projektu Juliusza Nagórskiego, która miała stanąć przy rondzie Waszyngtona.

szkic propozycji autorstwa Hectora Hamiltona, jedyne przedstawiciela Zachodu uhonorowanego nagrodą, z dopiskiem przedstawiającym kwotę, jaką za projekt zapłacono. Niestety, choć może raczej na szczęście dla nadawców, wiadomość zawieruszy się gdzieś w papierach i Stalin nie zwróci na nią uwagi.

Kilka miesięcy później nagrodzony w drugim etapie konkursu Hector Hamilton ze zdumieniem dowiaduje się, że nagroda została cofnięta bez wyjaśnień. Rusza do sądu, lecz równie dobrze mógłby pisać na Berdyczów.

Po dyskusjach moderniści zgadzają się, by ich najbliższy kongres, na którym zostaną sformułowane najważniejsze zasady architektury XX wieku, zamiast w Moskwie, odbył się na neutralnym terenie – płynącym z Marsylii do Grecji statku o nazwie Patris.

Inna sława, Frank Lloyd Wright, poczęstuje jeszcze Kongres Architektów Sowieckich bon motem o Pałacu: „Ta struktura – mam nadzieję, wyłącznie proponowana – będzie do przyjęcia jedynie, jeśli uznamy ją za współczesną wersję świętego Jerzego walczącego ze smokiem¹⁸”.



W Warszawie pierwsza wizja Pałacu rodzi się około 1934 roku, na fali mocarstwowych tęsknot Drugiej Rzeczypospolitej. Na zachowanej w zbiorach Narodowego Archiwum Cyfrowego fotografii prezydent Warszawy Stefan Starzyński – w towarzystwie prezydenta Ignacego Mościckiego i w otoczeniu współpracowników – ze wskaźnikiem w dłoni pochyla się nad wielką makietą. Na pierwszym planie lekko zamazane sylwety wieżowców i obiektu przypominającego wielki obelisk. Na drugim,

przedstawiającym cały kompleks zabudowań po praskiej stronie Wisły, w przedłużeniu mostu Poniatowskiego, widać wyraźnie sylwetę Pałacu, na tyle podobną do Pałacu Kultury i Nauki, że odruchowo chce się sprawdzić datę zdjęcia. Tymczasem wszystko się zgadza – to marzec 1936 roku, a przedstawiciele władz przybyli właśnie na otwarcie wystawy „Warszawa przyszłości” w Muzeum Narodowym.

Architekt Juliusz Nagórski, absolwent Politechniki Warszawskiej

i École nationale supérieure des beaux-arts w Paryżu, znany dotąd głównie jako współautor utrzymania w neoklasycystycznym stylu projektu hotelu Polonia oraz wystroju wnętrza Banku Cukrownictwa przy Karowej, dumny ze swej wyobraźni, przedstawia decydującym projekt związany z przewidywaną na 1944 rok Wystawą Światową, na którą do Warszawy miał napłynąć kilkumilionowy tłum z całego świata. Wyznaczono pod nią trzydzieści trzy hektary na Saskiej Kępie. Autor, nie przejmując się trudnościami gospodarczymi, nakreślił wizję wykorzystania w jednakowym stopniu obu brzegów Wisły, pomiędzy wałem rzeczny, aleją Piłsudskiego do linii średnicowej a polami po drugiej stronie portu Praskiego.

Prototyp Pałacu jest biały, wysmukły. Ustawiono go w prawym dolnym rogu mapy, przy rondzie Waszyngtona. Ma w projekcie pompatyczną i znamioną nazwę „Wieża Niepodległości”, nawiązującą do przypadającej rok wcześniej rocznicy 25-lecia powstania niepodległego państwa polskiego, do której odnosi się wystawa. Koncepcja Wystawy Światowej, tak samo jak pełen rozmachu plan przebudowy całego centrum Warszawy, w Europie nieuchronnie zmierzającej ku wojnie ma wymiar symboliczny – jest demonstracją siły.

Prezydencki wskaźnik dotyka czubka iglicy, celując dalej na wschód, gdzie ma się znaleźć stadion. Nowo powstałe pawilony, gmachy, tereny rekreacyjne i aleje będą połączone systemem podziemnych tuneli, a brzegi rzeki – trzema nowymi mostami. Oprócz Wieży Niepodległości nad dzielnicą będą górować inne elementy wysokościowe, w tym dwie wieże-obeliski inspirowane wieżą Eiffla.

Jeszcze bardziej imponująco pałac prezentuje się na perspektywie terenów wystawowych przygotowanej na podstawie projektu Nagórskiego w 1938 roku. Jak to bywa z Pałacami, przez dwa lata urósł i spoteźniał, upodabniając się do wielkiej rakiety kosmicznej. Rysownika poniosła fantazja, przeskalował wszystko, co się dało, by oglądających krzepiły obrazy przyszłej potęgi. Wieża Niepodległości jest wieżowcem w stylu art déco, wysokim na dwieście metrów i zwieńczonym nadajnikiem radiowym. Niestety, pojawia się tylko na makiecie i w jednej z wersji projektu (pełnej dokumentacji tej wersji nie udało się odnaleźć). Podobnie jak moskiewski pomysł Grzegorza Sigalina i jego dwóch współników, nigdy nie wyjdzie poza szkice na desce kreślarskiej.

Pierwsza z prób generalnych zapowiadających to, co dopiero ma się objawić.

Świadek przeszłości czy przeklęty symbol?

To nie polski Wersal ani Empire State Building. Bliżej mu do Kafkowskiego zamku. Jest źródłem miejskich legend: o 30 podziemnych kondygnacjach, o nieistniejących piętrach, o tunelu łączącym go z Domem Partii. Do dziś rzuca na Warszawę najdłuższy cień.

Beata Chomętowska jako pierwsza spogląda na Pałac Kultury i Nauki oczami ludzi, którzy związali z nim życie. Odkrywa dramatyczne losy architektów – braci Sigalinów, opowiada o „poślubionej” gmachowi kronikarce, o samobójcach skaczących z 30. piętra i ludziach piszących listy do „Drogiego Pałacu” niczym do starożytnego bóstwa.

Pałac. Biografia intymna to nie tylko opowieść o miejscu z własnym duchem i tożsamością. Albo o jeszcze jednym „źle urodzonym” – „betonowym torcie”, „darze Stalina”, który wielu chciałoby wyburzyć. To też historia dramatycznych zmian, jakie spotkały Warszawę i Polskę w XX stuleciu.

Beata Chomętowska – pisarka i dziennikarka, autorka m.in. uznanej *Stacji Muranów*, biografii *Lachert i Szanajca*. *Architekci awangardy* oraz powieści *Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie*.

cena 59,90 zł

ISBN 978-83-240-3494-9



znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny wyłącznie na
woblink.com



Trójka
POLSKIE RADIO



Pałac Kultury i Nauki Warszawa